

Pracuję od rana w tej winnicy i nie krzywduję sobie!

Nigdy nie jest za mało tych,
którzy próbują, jak potrafią
żyć na serio Ewangelią¹.

Muszę ostrzec, że hojność Łukasza Kamykowskiego i skutki, jakie odczują jej świadkowie, porównać można tylko z mimowolnym popisem Kmicica – Babinicza na Jasnej Górze wobec niedowiarków, którzy go strasznie rozeźlili:

– Waćpan nie spodziewałeś się, abyśmy nie uwierzyli jego wieściom? – Jak Bóg na niebie! – odparł pan Andrzej. – Jakiej żeś nagrody za nie wyglądał? Pan Andrzej, zamiast odpowiedzieć, zanurzył gorączkowo obie ręce w mały sak skórzany [...] i wydobywszy je, sypnął na stół dwie garście pereł, szmaragdów, turkusów i innych drogich kamieni. – Ot co!... – rzekł przerywanym głosem. – Nie po pieniądze ja tu przyszedłem!... Nie po wasze nagrody!... To perły i inne kamuszki... Wszystko zdobyczne [...] Zali nagrody potrzebuję?...

¹ Por. Ł. Kamykowski, *Aga, Mateusz... i mnóstwo pytań o Kościół*, Wydawnictwo Scriptum, Kraków 2019, s. 162.

Chciałem to Najświętszej Pannie ofiarować [...] z czystym sercem! [...] Tak namrody potrzebuję... Mam i więcej... Bodaj was!...

Umilkli wszyscy, zdziwieni, i widok klejnotów, tak łatwo jak kasza z worka wysypywanych, niemałe uczynił wrażenie; każdy bowiem mimo woli pytał się siebie: co by za przyczynę mógł mieć ten człowiek zmyślać, jeśli nie o nagrodę mu chodziło? [...] Taka jest natura ludzka, że ją widok cudzej potęgi i bogactw olśniewa. [...] Spoglądali tedy po sobie obecni, a on stał nad klejnotami z podniesioną głową, podobną do głowy rozdrażnionego orlika, z ogniem w źrenicach i rumieńcem na twarzy” (*Potop*, II, XII).

„Perłami” są dla księdza Łukasza słowa Biblii, bo on nie tylko wierzy Słowu Bożemu, lecz także wie, że jest to oręż ostry i skuteczny „jak miecz obosieczny”. Cytowanie przez niego obu Testamentów to znacznie więcej niż profesorska czy kaznodziejska erudycja. W Sienkiewiczowskiej trylogii jasnogórski *defensor fidei* oprócz pereł wysypał „i inne kamuszkami”. Podobnie poczynił i nasz profesor-turysta, wydobywający ze swego plecaka w Murowańcu „soborowe kosztowności”, czyli encyklikę *Gaudium et spes*. Mimo pozornej absurdalności sytuacji uczynił to z taką naturalnością i werwą, że cała dalsza opowieść stanie się dla czytelnika „instrukcją obsługi ducha soboru”. O wielu innych kapłańskich skarbach, z którymi krakowski teolog dialogował o różnych porach dnia, powiemy później.

Paś stada Pańskie pod Wawelem i na „Zakopiance”

Inny znawca teologii i miłośnik literatury, ks. prof. Marek Starowieyski, porównał bestsellerową powieść pt. *Przypadki Księdza Grosera* (pięć tomów z lat 2003–2016) do twórczości Heleny Mniszkówniej, która takie opowieści o ziemianstwie dawała gawiedzi, jakich tenże lud oczekiwał. Dla jej czytelników prawda o życiu wyższych sfer byłaby zbyt zniuansowana i złożona, nieciekawa i niezrozumiała. Nawet w przychylnych recenzjach powieści Jana Grzegorzcyka znajdujemy krytyczne uwagi

o publicystycznym stylu, a nawet o fragmentach pisanych wyraźnie pod publiczkę, które miały ubarwiać, czyli podretuszować, opowieść o wielkopolskim kapłanie.

Natomiast w małopolskich „Przypadkach Księdza Łukasza” żadnej publicystyki – ani tym bardziej kokietowania czytelnika – oczywiście nie znajdziemy, bo opowieść o „tygodniu z życia kapłana” nie chce być literaturą (bardzo) popularną i jest skierowana do tych, co teologicznie, czyli z użyciem rozumu, do spraw Pana Boga i Jego ludu chcą się zabierać. Jest to oczywiście grupa nieliczna, bo większość konsumentów słowa drukowanego woli o sprawach bosko-ludzkiego Kościoła czytać opowieści nasycone pobożnym uczuciem, naiwnym zachwytem lub faryzejskim osądem.

Powieść *Aga, Mateusz... i mnóstwo pytań o Kościół* to intermedium wśród siedmiu książek z lat 2002–2008, jakie zalicza się do gatunku prozatorskiego. Bardziej trafna byłaby kategoria *opuscula*, czyli dzieła mniejsze, lecz skoro dziś dzieł większych w literaturze brakuje, to stosowanie starodawnych kategorii jest, póki co, nie na miejscu. Z „dialogów i wyznań” ks. Kamykowskiego czytelnik dowie się wiele nie tylko o życiu księdza w Polsce, lecz także o Chrystusie, Biblii i o Duchu Świętym – nawet jeśli jest już znawcą wymienionych zagadnień. Taka to już profesorska maniera, żeby „przy okazji” jak najwięcej przekazać studentom i kolegom.

Tytułowe „mnóstwo pytań” to dokładnie 99 tematów rozstawionych w powieści gęsto, według logiki... bramek slalomu specjalnego! Z tą jednak różnicą, że tutaj nasz zawodnik miał pod górkę, gdyż jego trasa prowadzi od Wawelu pod Tatry. Profesor z wdziękiem połączył teologiczny slalom z szybkim nurtem meandrów życia. Jednak po chwilowej dezorientacji wywołanej żywiołowością opisanych sytuacji zauważamy, że ten tydzień wcale nie jest chaotyczny. Autor uwierzył, że nad nim samym i jego podopiecznymi czuwa opatrność Boża. Czytelnik rychło może się zorientować, że opisy poszczególnych epizodów i dni zostały doskonale zaplanowane przez kronikarza. Pamiętamy wszak, że napisał to dla nas matematyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który precyzyjnego i logicznego planu dysertacji nie odpuścił żadnemu ze swych uczniów!

Perypetie rozpoczynają się w święto jasnogórskiej ikony Matki Bożej, kiedy ksiądz profesor w góry się wybrał jak na... wesele do Kany Galilejskiej, no bo przecież to ta Ewangelia dzisiaj w czasie Eucharystii była czytana,

a skoro dziś czwartek, to w tajemnicach światła św. Jan Paweł II wskazał nam rozważanie tego słynnego wesela. Uczniowie Pana idą do Kany, aby się rozweselić. Jednak i Pan Jezus, i ks. Łukasz mają taki talent, że zaraz się im kłopoty zaczynają i zanim się ewangeliczni mężowie uweselili, to już młodym, czyli Agacie i Mateuszowi, wina zabrakło, no i trzeba pomóc... A tu za pasem rok akademicki i pilny artykuł, który nie może się doczekać wcielenia w pamięć komputera.

„Bo ksiądz jest kapłanem” – rzekła siostra Kora w zakrystii (s. 187), więc ks. Łukasz złożył w ofierze swoje plany i karmił każdego chlebem wiary i winem teologii. Nie oszczędził przy tym ani księdza proboszcza, ani nawet swego biskupa i jego kierowcy! Karmił po apostołsku tak hojnie, że z pozostałych ułomków on sam, jego uczniowie i czytelnicy mogli się najeść do woli.

Firmowym daniem autora jest dialog serwowany na wiele sposobów. Są to naturalne rozmowy o nadnaturalnych, a nawet mistycznych sprawach. Przekonuje nas prawda z tych rozmów, bo one rzeczywiście miały miejsce, choć niekoniecznie w okolicach Nowego Czwartku (to tam, gdzie w każdy czwartek Podhale celebrytuje swój targ). Całość ubarwiają rodzinno-pokoleniowe historie tytułowych bohaterów. Jednak to, co w tej opowieści najpożywniejsze, to rozmyślenia zmęczonego mędrca (najczęściej nachodzącego w nocy), który rozważa np. o „dziwnym splataniu się w Kościele potrzeby spontanicznej nowości i świeżości życia Ewangelią z koniecznością stałych norm gwarantujących tożsamość i jedność, wierność korzeniom” (s. 112). Wraz z autorem będziemy uczestniczyli też w niesporach i innych kapłańskich pacierzach, których opisy są perełkami księżowskiej literatury i poezji, godnymi ozdobić nawet jasnogórską ikonę Kościoła.

Próbę poukładania „pereł i innych kamuszków”, jakimi sypnął krakowski *defensor Ecclesiae*, rozpoczniemy od otwartych apologii Kościoła. Potem przejdziemy do bogactwa treści literackich metafor, a następnie przeanalizujemy „Łukaszową szkołę dialogu”. Na końcu zachwycimy się poetycką apologią krakowskiego teologa.

Apologia Kościoła Boga w Trójcy Jedynego

Już na początku ks. Kamykowski zasygnalizował, że w swoim *De Ecclesiae* będzie mówił i o budynku, i o ludziach, i o instytucji (s. 12). Czytelnik szybko zauważa, że autor, opowiadając swe troski i spostrzeżenia dotyczące ziemskiej rzeczywistości Kościoła, nieustannie zwracał uwagę na Pana Jezusa i na Ojca, którego nam objawił, i na Ducha danego wspólnocie uczniów Syna Bożego.

Poprzeczkę wysoko stawia teologowi tytułowy Mateusz, który bardzo szczerze mówi, co myśli o jego firmie: „zarozumiałe chamstwo i arogancja, zastarzałe przyzwyczajenie do rządzenia ludźmi i wciskania ciemnoty za grube pieniądze” (s. 14). Pewnego siebie oskarżyciela, który nie widzi, że także jest drażniąco arogancki jak jego podsądni (s. 17), doświadczony duszpasterz subtelnie przeciwstawia Kościołowi, który został uosobiony w postaci troskliwej Agi, serdecznie martwiącej się i o duszę oblubieńca, i o paluszki księdza profesora.

W inauguracyjnym dialogu tej trójki pojawi się pierwsza wielka definicja Kościoła: „Coś, co Bóg tworzy z naszą ludzką biedą od tylu pokoleń” (s. 23). Teolog – duszpasterz, szybko dopowiada, w czym wyrażać ma się tutaj ludzka synergia: „Lud Boży jest sobą, to znaczy: jest Boży na tyle, na ile jest miłością” (s. 23). Ponieważ miłujący musi znać i poznawać przedmiot swej miłości profesor przypomniał fundament: „znaczenie, sens czy nonsens, zależy od tego, czy ktoś wierzy” (s. 19) i wyjaśnił logikę owocności Biblii przemawiającej „do ludzi, którzy coś przeżyli” (s. 34). Po następnych dwustu stronach pielęgnowania poranionych ludzi Kościoła nasz sanitariusz postawił błyskotliwą diagnozę duszpasterstwa katolickiego w Polsce: „u nas zakłada się, że ludzie mają podstawowe doświadczenie tego, czym jest Kościół, że nim żyją” (s. 231). Dla mnie, z perspektywy lat przeżytych wśród neofitów w Kraju Rad, jest to najważniejsze zdanie w całej książce!

Autor nie ukrywał, że jego kluczowym cierpieniem są grzechy Kościoła przeciw jedności. Skromnie cytował swój własny, w bólach tworzony, artykuł dla „Niedzielnego Popołudnia”:

Rozłamy zaś powstają wśród ludzi nieustannie tam, gdzie ambicje jednych krzyżują się z interesami czy dążeniami drugich. Nie potrzeba do tego nawet nadzwyczajnych

okoliczności: starszym zwykle trudno zrozumieć młodych i na odwrót. Jedno miasteczko rywalizuje z drugim, naród z narodem o terytoria, o rynki, o prestiż. Ta reguła nie omija też spraw religijnych i duchowych (s. 140).

Na kolejnych stronach (s. 142n, 147) – przeczytamy następne, nie mniej gęste fragmenty. Na samym końcu (s. 289) wytrawny retor powtórzył te słowa.

Większość apologii Kościoła pojawia się w dialogach z młodymi. Jednym najpiękniejszych jest opis hojności Boga – Stwórcy gór: „tyle dobrego kamienia się marnuje”, a jednak dzięki temu marnowaniu „jest, gdzie poleżeć, pogadać, pozachwycać się”² (s. 7). Profesor potrafił też pokazać piękną prawdę o chrześcijaństwie w nieładnym kontekście, bo Kościół:

[...] zawsze żył i żyje w „zapapranym” świecie. Powołuje z niego „zapapranych” ludzi – bo po to został stworzony (s. 267).

Ta ostatnia rozmowa z Agatą przerodziła się w świętopawłowy poemat, który przytoczymy w ostatniej części tych rozważań.

Cenne intuicje apologetyczne pojawiły się także w rozmowach z ludźmi starszymi od Kamykowskiego, który pisał swe dzieło po pięćdziesiątce. Panu Józefowi – kościelnemu, ripostuje, że świętości Kościoła „nie mierzy się ani liczbą świętych, ani liczbą drani, którzy do niego należą”, podobnie jak „nie mierzy się wydajności morza ani liczbą ludzi, którzy się w nim kąpią, ani liczbą tych, co nad nim stoją i się nie kąpią” (s. 50).

Dla wielu czytelników najszczególniejszym rozmówcą ks. Kamykowskiego będzie dziadek Mateusza – profesor Podgórski. W kontekście apologii Kościoła zacytuję trzy z jego spostrzeżeń. „Traciłem podziw dla Kościoła [...], w miarę jak zaczął zastępować «przewodnią siłę

2 W tym miejscu miłośnikowi *Quo vadis* przypomina się Petroniusz, który też bardzo lubił „poleżeć, pogadać, pozachwycać się”. Gdyby rzymskiemu sceptykowi i epikurejczykowi chciało się myśleć, do czego gorliwie zachęcał go tak siostrzeniec, jak i sam Paweł w Tarsus, to zostałby nie tylko apostołem, ale twórcą teologii fundamentalnej. A tak Kościół musiał czekać aż do narodzin Justyna Samarytanina – apologety i męczennika.

narodu»” (s. 276) – podobieństwem do PZPR profesor tłumaczył rosnący po 1989 roku dystans inteligencji wobec instytucji kościelnych i duchowieństwa. Chwilę wcześniej stary medyk podzielił się z młodszym teologiem swym światopoglądowym sceptycyzmem: „Świat jest zbyt piękny, zbyt straszny i zbyt banalny” (s. 275), aby objąć go jedną, uniwersalną prawdą o nim! Ks. Kamykowski wykorzystał te słowa do autorskiej teologii Miłosierdzia Bożego (s. 284), a dziadkowi oddał jeszcze ostatnie słowo książki, gdyż diagnoza o „wczesnych stanach pooperacyjnych” i apel: „Cierpliwości! [bo] wszystko okaże się z czasem” (s. 293), są dla zatroskanych o poobijany i poraniony Kościół krewniaków Pana Jezusa największą doktorską pociechą!

Piękno w służbie Prawdy, czyli literackie *loci theologici*

Pisarze zabierający się świadomie do tworzenia wielkiej powieści bardzo się starają, aby pierwsze zdanie nowego dzieła zawierało w sobie jego pełny „genotyp”. Nie inaczej jest i u księdza Kamykowskiego:

Późnosierpniowe słońko delikatnie, jak to ono, próbowało nam osłodzić pamięć o tym, że to już ostatnie dni wakacji, zachęcając by mu się poddać bez martwienia się o przyszłość (s. 5).

Na ile świadomie narrator sam chce być tym późnosierpniowym słońkiem³ – wiedzieć nie będziemy, bo z pewnością się nie przyzna, ale nie wyprze się tego, że jego ciepłe spojrzenie i promienie delikatnie wypowiedanych słów pomogły wielu przyjaciółom opanować „martwienie się o przyszłość”. Pozwólmy więc teraz przemówić innym, najpiękniejszym, najtrafniejszym

3 Czytelnicy *Brewiarza* pamiętają błyskotliwą metaforę Łukasza Ewangelisty i wiedzą, kto jest „Słońcem Wschodzącym z wysoka, by zajaśnić tym, co w mroku i cieniu śmierci mieszkają, aby nasze kroki zwrócić na drogę pokoju” (Łk 1, 78n). W górach często słońce wschodzi z wysoka, bo zza góry. Tak jest np. w Jerozolimie.

i najbardziej błyskotliwym metaforom, jakie w powieści się pojawiły (w kolejności ich występowania).

Ks. Łukasz rozumie tych, „co zostają gdzieś z tyłu” kościoła lub Kościoła, bo się przepychać do przodu nie chcą lub wstydzą, bo „każdy się wtedy na ciebie gapi i robi wielką łaskę, że się trochę przesunie” (s. 8).

„Rozkwaszony palec” księdza profesora (s. 24) to obraz dramatów i ran „Mistycznego Ciała Kościoła”, którego tak bardzo nie trawi Mateusz. Na tej samej stronie zobaczymy mgłę jako obraz ziemskiego Kościoła, który trochę przeszkadza w poznaniu Bożych tajemnic: „mgła, której tak naprawdę niewiele jest między ziemią i słońcem”. A jednak „coraz więcej światła” przebijało się do wnętrza – pocieszył nas wędrujący znawca Tatr!

W tej samej scenie oburzony bezbożnik Mateusz, który nic mistycznego w cielesności widzieć nie umie, ulega niefajnej pokusie posiadania ciała ukochanej. Autor taktownie „spróbował tego nie widzieć” (s. 24), aby z apostołską łagodnością dalej prowadzić (duchowo-cielesny) dialog.

Czarujący jest anonimowy sąsiad w schronisku, który „chrapał równo i przejmująco, wciąż nie wiedząc o radykalnej zmianie pogody” (s. 27), bo wielu jest i w świecie, i w Kościele śpiących, co nie wiedzą, że klimat w Kościele Bożym się zmienił. A zaraz potem „przy wyjściu oślepiło mnie pełne słońce!” – pisze ten, który zawsze gotów jest na olśnienia i podziwianie tego, co zna od dawna. Ale w następnym pytaniu (s. 28n) okazuje się, że to jednak nie ukochane góry, lecz człowiek jest dla ks. Łukasza najpiękniejszą świątynią Boga w tym świecie.

Kamykowski pisał nie o sobie, lecz o większości zmotoryzowanego duchowienstwa, diagnozując ich teologiczną słabość:

trzeba było wykręcić się na siedzeniu i próbować na wstecznym wymanewrować spośród nieco chaotycznej gmatwaniny pojazdów, co już całkiem nie dawało szans na racjonalne uprawianie teologii (s. 35).

Jedną wielką metaforą Kościoła jest świątynia, gdzie profesor regularnie sprawuje liturgię (s. 35–45). Także i załoga tej „nawy”, czyli z miłością sportretowani pan Józef i siostra Kora, którzy są jak Święta Rodzina „w dobrze średnim wieku” (s. 50), gdyż zakrystianka to w istocie „Panna Maryia – Współodkupicielka”,

choć niektóre jej zagrywki godne są hipisowskiej imienniczki, czyli słynnej Olgi z Krakowa, zresztą rówieśniczki autora. Natomiast zatroskany o dom Boży kościelny Józef niewątpliwie jest „Głową Świętej Rodziny”, lecz kiedy „sam sobie wystarcza w swej wiedzy o Kościele!” (s. 38), to już raczej reprezentuje rzesze klerykalnych księży i zastępy „zakrystyjnych” parafian.

Podobni do tej grupy chrześcijan są tzw. klienci kościoła, których profesor sportretował w obrazie... krakowskich gołębi: „tylko to je interesuje w krajobrazie” czy „ktoś otworzył okno i coś im wyrzucił” (s. 59) – to tylko wprowadza je w ruch tak wielce niebezpieczny dla przechodniów!

Wracając jeszcze do wnętrza świątyni, usłyszymy współcierpienie, z jakim ksiądz opowiadał o logice grzechu wewnątrz Kościoła na przykładzie „tajemnicy ukradzionego flakonu” (s. 40–45).

Droga jest dla ewangelistów symbolem podstawowym. Jednak opis późnowieczornej podróży „na stopa” z biskupem i laikatem w osobie pana Zygmunta za kierownicą (s. 99–112), to nie tylko piękna i dramatyczna metafora, lecz także bukiet najsmakowitszych *Dialogów o Kościele w świecie współczesnym*. I to bez żadnej publicystyki – zauważmy raz jeszcze!

Z trudniejszymi „przypadkami” duszpasterz dialogował, przemierzając „cmentarz przykościelny, dziś wyglądający już jak trawnik z betonową ścieżką, po której można, rozmawiając, krążyć wokół kościoła” (s. 162n), bo to, co starodawne w Kościele, zabetonowano, a to co nowe? „[...] ze względów oszczędnościowych oświetlony był tylko ołtarz środkowy i jego otoczenie” (s. 255). Czyżby aluzja do kościoła posoborowego? Tak czy inaczej celebrians medytuje o „barierach dzielących” i o tym, że i tak wielu jednak chciało siedzieć w cieniu. Pokornie dochodzi do niełatwej prawdy, że w liturgii „celebrans z natury rzeczy jest wyodrębniony” (s. 255).

Ostatnia z powieściowych metafor mogłaby być pierwszą, bo chodzi o schody do mieszkania Szefa. Są one bardzo realne, strome i wielopiętrowe. Młodzi (z zasady śpieszący się, bo zazwyczaj są spóźnieni) próbują po nich biegnąć i... dostają zadyszki. Lecz nie Mistrz! Nie tylko dlatego, że dba o kondycję, lecz raczej przez to, że wchodząc codziennie i to wielokrotnie, dobrze poznał i same schody, i swoje tempo. Przy tym wie również, że dawne piętra są znacznie wyższe!

Autoportret z dialogu utkany

Po stromych schodach wchodzimy zaproszeni na gościnne, profesorskie (dwa) pokoje i choć przywiodły nas tu osobiste pytania i problemy, to filozofia spotkania zaskoczy nas, bo otrzymamy znacznie więcej, niż prosiliśmy. Przewracając stronnice *Mnóstwa pytań o Kościół*, dostrzegamy, że wielość wątków szybko splata się w bardzo osobisty gobelin, w tkaninę dwustronną! Widzimy profesora w „akcji”, czyli w spotkaniach i rozmowach z bliźnimi. Odważnie pokazuje nam on także i rewers utkanego obrazu. Autobiograficzna szczerość to sztuka, bo kiedy chcemy innym powiedzieć o sobie coś istotnego, to mamy do wyboru dwie drogi: albo ekshibicjonizm, za którym zawsze stoi pycha, albo pokorę, w której zawarta jest chwała oddana Bogu – autorowi mej tkaniny (por. Ps 139, 13; Hi 10, 11).

W sposobie rozmawiania i w słowach odpowiedzi na ludzkie mnóstwo pytań zawarty jest wielobarwny autoportret, jaki powstał przy użyciu dostępnych autorowi kolorów, wśród których dominują: czerwień świętopawłowa, zielen soborowa, róż duszpasterski, czern brewiarzowa i fiolet profesorski. Kanwą tego portretu jest... koszulowa flanela kraciasto-turystyczna.

„Nie smutno tak księdzu całe życie samemu!” (s. 257) – pyta się śmiało, a troskliwie Aga. A my uśmiechamy się szczerze wraz z ks. Łukaszem, bo to już siódmy dzień złotojesiennych procesji naszego wędrowca-dialogowca. „Odkąd już zostałem księdzem, ani nie miałem powodu, ani chęci, ani czasu [aby się buntować]” (s. 263) odpowiada chwilę później i z czułością wspomina swego świętobliwego spowiednika i tych wszystkich, „którzy mi wymodlili to powołanie”.

Bez egotyzmu i pozerstwa umie powiedzieć o swoich słabostkach i niedomaganiach: „znów się rozpędziłem, znów chciałem wyrzucić z siebie za dużo naraz” (s. 24) – złości się szpakowaty już ksiądz kanonik na swą neoprezbiterką namiętność. Jednak gdy na szlaku wyszedł już na bardziej równą drogę, gdzie pozostał sam (s. 33), to „pod czaszką” aż zakłębiło się od „przykrego wrażenia niezadowolenia z siebie” i trzykrotnie zabrzmiało samooskarżycielskie „Dlaczego?”, dwa razy rozpaczliwe „Czy nigdy...?” i jeszcze dwukrotne, bezsilne „Jak...?”: „Jak nie wpaść w banał...?”; „Jak

zachować misterium?”. Pytania te będą go męczyły aż do końca piątkowego wieczoru, czyli przez następne... 12 stron!

Zawadiacko uśmiechające się „zmartwiłem się obłudnie” (s. 213), odnotowane przy okazji rozmowy z oazową młodzieżą, jest tylko przygrywką do warstwy „osadu”, jaki pozostał po biblijnej szermierce z „suchą kobieciną” – Jehowitką, jadącą tym samym busem do Palenicy Kociarskiej (s. 216–219). Jak jakiś kleryczek bawił się z nią w biblijne cytaty i oczywiście „zagiął” ją skutecznie. Zaraz jednak kaja się bardzo serdecznie i na sobie samym doświadcza miecza boleści, nad którym dopiero co medytował w czwartej tajemnicy radosnej, „aby na jaw wyszły zamysły serc wielu...” (s. 217).

Znacznie łatwiej jest pokornie opowiadać o swoich wadach i potknięciach niż o swoich zaletach i codziennych sukcesach. A jednak ks. Łukasz przyznaje, że jest mistrzem rozgrywania „rozsądnych prowokacji” (s. 13) i umie zebrać „w garść całą inteligencję i spryt” (s. 266), skromnie nie dopowiadając ileż tego dobra jest i z rodzinnego pochodzenia, i z własnej pracy!

Jego codzienność to duchowne seminarium, czyli... hodowla nasion! Z nostalgią czytam, jak Mistrz napuszcza młodych wilczków (w tym wypadku alumnów) przeciw sobie nawzajem (s. 55). Przy okazji poznajemy profesorską kuchnię – dosłownie i w przenośni: tę z redagowaniem magisterek, z ich błędami gramatycznymi, konstrukcyjnymi, z nieszczęsną kursywą i niepotrzebnym „boldem” itp. Pokazuje też i zaplecze z czajnikiem i ze szklankami w zlewie... Widzimy, jak „droczy się świadomie” z klerykami Wojtkiem i Przemkiem (s. 61) i jak... uczy się od nich, bo naprawdę chce mu się wędrować wraz z nimi po meandrach ich szkolnych wypracowań. Taka to już w nim jest unia hipostatyczna, że profesor i turysta jest w jednym ciele, z jedną duszą. Wędrując w tym składzie (dwójka ze sternikiem), doszli zresztą do ciekawych rozważań, na ile Kościół jest Boży, a na ile Chrystusowy (s. 76n).

Ksiądz Łukasz dobrze wie, że prorok to „człowiek uważny i wyczulony na Boga” (s. 23) i swe prorockie rzemiosło ćwiczy na naszych oczach przez wszystkie te dni. Wie również, że szczególne znaczenie w sztuce prorokowania odgrywa głos i kilkukrotnie odsłania nam, często dramatyczną, tajemnicę swego ciepłego tonu: „czułem, że potrzebuję nieco czasu na ocieplenie tonu głosu, tak mnie zmroziła jej niechęć” (s. 138); „usiłowałem nadać

głosowi wyraz zachęcającego spokoju” (s. 141); „nie byłem chyba bardzo miły w głosie” (s. 245); „czułem, że wpadam w ton wykładu” (s. 264). Czytając te didaskalia, widzimy, jak prorok nieustannie pracuje nad samym sobą. Przekonujemy się, że umiejętność prawdziwego słuchania i rozmawiania jest owocem realnej walki duchowej!

Dla Łukasza Kamykowskiego dialog to coś znacznie więcej niż ciekawe, filozoficzno-teologiczne zagadnienie. Dla niego to rzemiosło i trud, sztuka i radość!

O artystycznym stylu swej teologii pisze bardzo syntetycznie: „Duch Święty próbuje wyrwać Lud Boży z ospałości, rutyny i zmusić do myślenia!” (s. 81), a „mój księżowski nos duchowy, chwycił w tym dramacie, w tym dziwnym zbiegu okoliczności, Jego tchnienie” (s. 87).

Prorockie i artystyczne talenty prałata z Placu Sikorskiego najzwyczajniejsze zastosowania mają nie na „Zakopiance”, lecz w „metodologicznej kuźni” badań teologicznych, gdzie rzemiosła uczy i solidności wymaga od swych podopiecznych. Uczy ich patrzeć jak teolog i patrzeć jak historyk, a jednak wciąż patrzeć jak człowiek (s. 60, 78), bo:

w konflikcie [...] nie decyduje ani abstrakcyjny rozum, ani abstrakcyjna wiara, tylko człowiek – w świetle swego sumienia. Bo zawsze jest wymiar moralny [...], gdy w grę wchodzi żywy człowiek! (s. 269).

W tych zmaganiach o ludzką i artystyczną teologię niespodziewanie wspiera go stary, uczony chirurg, który mówi o „sztuce medycznej” i kpi z młodych lekarzy „komputerowców” (s. 235). Ks. Łukasz też spotkał wielu teologów i biblistów, którzy w swe komputery uwierzyli, i niejednego z nich od uprawiania „e-teologii” wyratował, bo zawsze cnotę od narzędzi zewnętrznych odróżniał, a swym komputerem posługiwał się zawsze z radością i mądrością, choć czasem nieroztropnie długo.

Jednak zmaganie się z młodzieżą akademicką płci obojga to jeszcze nic. Swą pisarską Golgotę pokazał nam na przykładzie popularyzatorskiego artykułu na ważny temat. Ze współczuciem śledzimy bóle rodzenia „lekkiego” w formie tekstu (s. 131–148; 254; 289), który „jest mi potrzebny niezależnie od tego, czy «Niedzielne Popołudnie» będzie chciało mi go wydrukować”

(s. 254) – odsłania nam najgłębsze przyczyny powstania... *Agi, Mateusza... i mnóstwa pytań o Kościół.*

Dialogi z literaturą i rzeźbą sakralną

Zewnętrzne sytuacje, przygody, potknięcia i osiągnięcia tylko w połowie pokazują prawdę o człowieku. Tę ważniejszą, wewnętrzną część prawdy o sobie profesor pokazuje nam również w dialogach. Jego rozmówcami są... Mszał, Brewiarz, Krucyfiks, Najświętszy Sakrament w tabernakulum i różaniec święty.

Zaczyna się niewinnie od *Oracji na XXII niedzielę w ciągu roku* (s. 49). A potem wchodzi w rolę charakternego Don Camillo (s. 51–53; 71), który jednak z Duchem Świętym nie odważył się dialogować (s. 169n). Nie jest przypadkiem, że pierwsze nabożne *colloquium* ma miejsce w rozdziale *Czy Kościół daje dobre świadectwo o Bogu*, bo kapłan Chrystusowy wie, że owocny dialog ze światem swoje główne źródło ma w jego osobistym spotkaniu z Mistrzem.

Dwa razy autor zaprosił nas na mszę świętą (s. 154–160; 187–189). Niedzielna Eucharystia to więcej niż dialog z tekstami liturgii, to istne *collationes*, które również trzeba zaliczyć do pereł kapłańskiej prozy! Msza nazajutrz też jest perełką. Po pierwsze nasz celebrans wychodzi do niej z błogosławieństwem zakrystyjnej *Coredeemptix*, a po drugie:

tylko refren psalmu wrył mi się w pamięć mocniej [...], w związku z rozmową z siostrą Korą o wielkości. Prawdziwa wielkość człowieka jest w tym, że zawsze może się schronić u Boga, że w Nim ma zbawienie. Cała reszta przy tym jest na prawdę bez znaczenia (s. 189).

Każdemu ze swych uczniów, z których wielu dąży ku wielkości, Mistrz przypomina: twoja wielkość zależy od tego, gdzie się dziś chronisz i u kogo chcesz się chronić w przyszłości, gdy ciężkie czasy nastaną.

Miejscem i osobą, u której chronił się sam ks. Łukasz, jest... tomik poezji hebrajskiej zwany *Brewiarzem*, bo pisarz wiedział, że psalmy, kantyki

i czytania – to w istocie ich autorzy i Autor, którzy przed wiekami do dialogu nas zaprosili.

Najbardziej lubił nieszpory, bo mógł on wtedy po Bożemu ogarnąć cały, przesycony przygodami dzień, np. po godzinie rozmowy z profesorem Podgórskim „Czułem fizyczną potrzebę modlitwy” i otrzymujemy 10 stron nieszporów z kompleta (s. 243–253). Dwa dni wcześniej w czasie niedzielnych nieszporów (s. 171–173) „zaadoptował” Agę i Mateusza.

Jego dialogi różańcowe są czasem wizjonerskie (s. 180n), a czasem poszarpane i pielgrzymkowe jak we wspomnianym busie na Nowy Targ (s. 200–220), gdzie z różańcem w ręku naprawiał kościół lokalny i własne serce.

Dla księżowskiej satysfakcji dodajmy, dla dobrego przykładu, naszym alumnom i wikarym, że *Modlitwę popołudniową* też ks. Kamykowski w swoim czasie odmawiał, zwłaszcza jak „mu jakoś niewyraźnie” (s. 279).

Po tych z górą dziesięciu modlitewnych dialogach i medytacjach wydaje nam się, że już nas niczym w tej dziedzinie nie zaskoczy. Jednak wytrawny retor na wielki finał zostawił sobie (i nam) *Koronkę do Miłosierdzia Bożego* – przecież w Krakowie jesteśmy, przecież z uczniem kard. Wojtyły mamy do czynienia.

Dopiero co odmawiał psalm: „Uciekłbym daleko, zamieszkał na pustyni” i już jedzie na cmentarzysko KL Płaszow. Niemiłosierna pustynia będzie sceną tej *Koronki*... – 1 września, 60 lat później, a jednak prawie dzisiaj (s. 282–287). *Ojciec nasz*... wymęczone, a jednak „zwyczajnie tak jak umiem od dziecka”. A potem *Koronka*... św. Faustyny wszystkie kawałki serca i historii posklejała:

Wreszcie odnajdywała się jedność między powszechnym i osobistym, dawnym i obecnym. Biegliśmy przez tę modlitwę, żywi i umarli, na przemian my: ja, Mateusz, Agata, Podgórcy i Karwieńscy – i cały świat: Żydzi czy Grecy, niewolnicy czy wolni, lepsi czy gorsi, ofiary czy kaci – wszyscy potrzebujący Jego miłosierdzia: – Dla Jego bolesnej męki [...] Było prawie wpół do czwartej, kiedy skończyłem koronkę (s. 286n).

Już po powrocie do domu nastał czas na nieszpory, które i tym razem go nie zawiodły. Pokorną „wisienką na torcie” pięknego, choć dramatycznego dnia stała się trzynastowieczna mniszka z Salwatora – bł. Bronisława

z Odrowążów (s. 288). Autor, jak większość krakowskiego kleru, osobiście znał tę pustelnicę z przechadzek na Kopiec Kościuszki, więc nic dziwnego, że kiedy oracja wychwaliła jej „pokorne kroczenia za Twoim krzyżem [...] abyśmy po niedolach życia doczesnego mogli uczestniczyć w Twojej chwale”, to ks. Łukasz zaraz spytał ją o to „kroczenie”. A ona milczała, no bo ani kaznodzieją, ani profesorem nie jest, jeno pustelnicą! Ale to naszemu bohaterowi wcale nie przeszkadza w słuchaniu jej milczenia.

Profesor rozmawia – zawsze i wszędzie, i z każdym!

Słowo „dialog”, które pojawiło się w tych rozważaniach wielokrotnie, w samej powieści prawie nie występuje. Nasz autor nieco wcześniej napisał inną książkę o teorii dialogu, a teraz opowiedział nam tylko o praktyce dialogu, która jego samego nigdy nie znudzi. Powieść o Adze i Mateuszu mogłaby nawet w podtytule mieć coś w stylu: „Profesor i jego dialogi, przygody, rozterki i olśnienia”. Ale nic takiego nie będzie, bo jedyne „ego”, na jakie sobie pozwolił autor, to własnoręczny portret siebie jako celebrycy – tyłem do nas! Jego dziecięcy styl rysunku z pewnością jest kolejną „rozsądną prowokacją”.

Autor uprzedza nas, że dialogiczny styl życia wiąże się z wieloma cierpieniami. Czasem (np. na plebanii) jest oskarżany wprost: „Wy profesorowie, to byście [...] zostawili elitki pięknoduchów, które was chętnie słuchają” – goryczą doprawił obiad sam proboszcz (s. 125–129). Nieco dalej okaże się, w mieście „Tygodnika Powszechnego”, jak trudny jest dialog z katolikami „otwartymi”. Nasz bezpartyjny i bezfrakcyjny bohater oczywiście daje sobie radę, bo to naprawdę „Profesor Otwarty & Ksiądz Integralny” (s. 191n). Dlatego też młodszemu adeptom sztuki dialogu daje konkretną radę: gdy twoje „spokojne tłumaczenie spraw od podstaw tylko podsycza jej wzburzenie” (s. 198) – wtedy stań się jak... redaktor Radia Maryja i módl się z oburzonymi, choćby i przez telefon!

Wszystkie dotychczasowe rozmowy okazują tylko minialogami (czasem kilkustronicowymi) w porównaniu ze spotkaniem Kamykowskiego z Podgórkim: dwaj profesorzy; dwa pokolenia, katolicki ksiądz i Żyd agnostyk. Właściwie jest to jedna rozmowa odbyta w ciągu niespełna doby (s. 233–243;

259; 270–278; 292n). Obaj odkrywają sobie nawzajem osobiste bóle i cierpienia. W przypadku narratora jest ból świętopawłowy i apostołskie oczekiwanie na Izrael (por. Rz 10–11)⁴. Teolog dialogu miał tu możliwość udowodnienia swego mistrzostwa w sztuce posługiwania się srebrnym kluczem piotrowym, tym przeznaczonym do otwierania ludzkich sumień⁵. To jest najbardziej emocjonalna, osobista, niemal tragiczna część książki, którą autor zaskoczył chyba każdego z czytelników zarówno poziomem duchowej szczerości, jak i jakością kunsztu literackiego!

W finale zasadniczej części rozmowy z ust dziadka Podgórskiego padają słowa kluczowe dla całej książki i jej autora: „Dziękuję, że mi pan nie dał gotowej odpowiedzi!” (s. 278). Mowa tu o pokusie posiadania przygotowanych odpowiedzi, które powodują, że w istocie wcale nie słyszymy pytań! Ale wtedy, gdy pytanie mnie przerasta, trzeba mieć odwagę i umieć milczeć, aby wytrzymać w sobie echo pytania odbijającego się w przepaściach mej pustki i niewiedzy. Z tej głębokości możemy wołać do Pana i Ożywiciela, a odpowiedź niekoniecznie przyjdzie zaraz (choć i tak bywa), ale na pewno objawi się nam żywa Prawda, która ożywi obu rozmówców, jeśli obaj

4 Pawłowe zagadnienie trudu przemiany rabina w proboszcza prześledziłem w dysertacji napisanej pod okiem ks. Profesora Łukasza. Jeśli przyjąć, że Kryspus z *Dziejów Apostolskich* Łukasza Ewangelisty jest tym samym z *Quo Vadis* Sienkiewicza, to zmagania św. Piotra nad ostateczną ewangelizacją rzymskiego proboszcza z jansenistycznymi skłonnościami nabierają aktualnego znaczenia, zwanego dziś „nawróceniem pastoralnym”.

5 Naturę kluczy św. Piotra i zasadę ich użycia najlepiej opisuje Dante w *Czyśćcu* (IX, 118–132). W tłumaczeniu Edwarda Porębowicza brzmi to następująco: „Jeden był srebrny, drugi szczerozłoty; / Więc najprzód białym, żółtym zaś po chwili / W zamku pracując, koił me tęsknoty. / „Gdy bodaj jeden z tych kluczów omyli – / Mówił – snadź jakiś błąd zachodzi, za czym / Już się ta furta przejściu nie odchyli. / Jeden cenniejszy; drugiego badaczem / Trzeba być lepszym, by bramę otworzył, / Bo on jest właśnie węzła rozdziergaczem. / Piotr mi je w ręce podał i dołożył: / «Raczej litością grzesz tutaj niż wstręty, / Byle się grzesznik u nóg twoich korzył»”. Natomiast w tłumaczeniu Juliana Korsaka: „I wnet dwa klucze dobył spod jej poły, / Jeden był złoty, drugi srebro-szczerzy. / Wśród białym, w kolej żółtym wiercił zamek, / Aż drzwi wzruszone zaszczętkły od klamek. / Czułem się w sobie rzeźwy i wesoły. / – «Jeden z tych kluczów gdy źle wierci piorem,» / On mówił, «drzwi te nie staną otworem: / Jeden z tych kluczów jest droższy, lecz drugi / Wymaga sztuki i nauki długiej, / Albowiem zamku sprężynę odgina. / Piotr mi je dając, tak mnie upomina: / «Lepiej z pomyłką otwieraj drzwi święte, / Niż gdybyś trzymał drzwi te wciąż zamknięte, / Niech tylko grzesznik do stóp mych upada»”.

jej bardzo pragniemy. Tak stanie się i tym razem, kiedy owocem dialogu uczonego medyka i słuchającego teologa będzie olśnienie (s. 283n) w płaszowskiej Gehennie:

Jaki świat – takie odkupienie,

przemknęło mi przez głowę wraz z promieniem słońca.

Głupstwo dla Greków,

zgorzenie dla Żydów,

a jednak Moc i Mądrość:

Chrystus ukrzyżowany.

Zbyt piękny,

zbyt straszny

i zbyt banalny zarazem, żeby Go ogarnąć,

żeby wytłumaczyć.

„Bo tylko Duchem można to rozsądzić” (1 Kor 1, 24).

Teolog i poezja w służbie Piękna Kościoła

Od lat w codziennych niesporach towarzyszy nam kilkanaście apostoelskich hymnów zaczerpniętych z nowotestamentalnych Listów i Apokalipsy. Ponad połowa z nich to poetycko-teologiczne perły św. Pawła, który misternie je porzucił, pisząc do Rzymian, Filipian, Kolosan i innych Hebrajczyków. Jak przekonaliśmy się powyżej, nasz autor też nie bał się piękna słów i pozwolił prozie przeistaczać się w poezję, bo *via pulchritudinis* dotyczy nie tylko słowa malowanego. Poematy te nie tylko żadnego komentarza nie wymagają, lecz ponadto same są najświetniejszym podsumowaniem tej skromnej pochwały skromnego Mistrza.

Pierwszy z hymnów eklezjologicznych ks. Łukasza (s. 39) chciałbym zatytułować *Zakrystyjny poemat o Kościele Ukrytym*:

Trzeba umieć

patrzeć na Kościół jak na tajemnicę.

Mam na myśli także to, co się zmienia w nas

Przez to, że się trzymamy tego Kościoła,
że przychodzimy na mszę i do spowiedzi,
słuchamy Ewangelii i kazań,
zostajemy, żeby się w ciszy pomodlić.
Pamiętamy przy tym o naszych bliskich na tym świecie
i na tamtym,
i o tych, co nas prosili o modlitwę, albo i nie prosili,
ale sami się o nich martwimy...
Albo myślimy, co ludziom powiedzieć w niedzielę,
żeby ich zachęcić, do brania Ewangelii na serio,
albo krzątamy się po zakrystii,
żeby to wszystko jakoś wyglądało

Podstawiamy się pod tę łaskę z Nieba,
a On powolutku w nas ją wsącza,
tak że coś się zmienia w naszym patrzeniu
i przeżywaniu świata, ludzi, Boga.
Tego się nie przejrzy,
tego się nawet nie zauważa,
ale po miesiącach, po latach...
...Co prawda, to prawda.
Opornie, bo opornie – może coś się zmienia.

Druga medytacja natchniona jest pawłowym *Listem do Efezjan* (4, 15–16). Autor umieścił ją w rozdziale o zlu w Kościele (s. 267). Proponuję ją zatytułować *Poemat o Kościele wzrastającym w historii*:

Kościół choć podtrzymywany,
ożywiany i prowadzony przez Ducha Świętego,
sam musi „przyczyniać sobie wzrostu”,
czerpiąc moc, wzór i siłę
ze swej Głowy – Chrystusa.
Ale z wykorzystaniem ludzkiego potencjału

wszystkich swoich członków.
Oni, nawet przy najlepszej swojej woli
(a nie zawsze mają aż taką najlepszą),
i przy najtęższym umyśle
(a nie zawsze mają najtęższy),
wnoszą swój sposób rozumienia i przeżywania
w zmienne struktury Kościoła,
w decyzje ustanawiające życie kościelne – nieraz na stulecia,
nie tylko swe osobiste życie
(ono jest stosunkowo najprostsze i najjaśniej opisane w Ewangelii),
a wraz z tym, co wydaje im się słuszne i oczywiste
w „zapapranym” świecie,
w którym nikomu nie przychodzi do głowy,
że pod tym czy innym względem mogłoby być inaczej.
Chyba nikt nie jest w stanie
skonfrontować wszystkiego w swoim życiu
ze światłem Ewangelii?
I gdzie jest wtedy Duch Święty?!
Czeka w ciszy,
aż się zwrócimy do Boga, żeby wołać:
„Abba! Ojcze!”, żeby nam rozświetlać Ewangelię,
kiedy naprawdę chcemy ją zrozumieć
dla podjęcia słusznych decyzji.

Trzeci z wielkich poematów jest poprzedzony wstępem, który już poznaliśmy: *Jaki świat – takie odkupienie...* (s. 283n). Wprowadza on nas w wielką „Medytację o świecie zjednoczonym w Miłosierdziu Bożym” (s. 284–287), której finał, *Wreszcie odnajdywała się jedność...* (s. 286n), wcześniej już przytoczyłem. Ten fragment można by nazwać *Poematem o czasie Kościoła*:

Trzy dni między „zstał” a „zmartwychwstał”;
ile wieków między „wstał” a „przyjdzie sądzić”?

Zszarzały świat buntował się we mnie
i przeze mnie rzucał na wiatr odwieczne pytania.
Dlaczego tak długo – i nic?
Jakby bez efektu.
Tyle wieków głoszenia Ewangelii,
a jak przyjdzie co do czego,
znów prawo siły, pogarda, nienawiść?
Dlaczego wciąż na nowo tak banalnie i tak strasznie,
skoro tak pięknie?

Nie można tak. Trzeba się opamiętać:
– Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny...
a wciąż garstka takich, w których się to objawia.
Wciąż dla niewielu piękny,
dla innych straszny lub tylko banalny.
Czy nie mógłby wreszcie zajaśnieć chwałą Chrystusa
tak, żeby świat uwierzył?
Czy w ogóle leży to w planach Bożych na przyszłość?

Ostatnie eklezjalne rozmyślanie w *Mnóstwie pytań o Kościół* jest bardzo krótkie (s. 290n). Nie wzgardzimy nim, bo zrodziło się z ważkich profesorskich pytań, perspektyw i ostrzeżeń: „Mamy skarb, a rzucamy się o byle co!”; „Królestwo Boże będzie wam zabrane, a dane narodowi...”; „Dlaczego Kościół wciąż od nowa musi się uczyć?” i „Jak uprzytomnić czytelnikom, że tak naprawdę w jedności Kościoła chodzi o zbawienie świata?”. Znając sposób, w jaki uśmiecha się ks. Łukasz w takich sytuacjach, nazwijmy ten poemacik *Kościół się rumieni i dojrzewa*:

Wciąż najlepsi odchodzą.
Pokornie kroczyli za krzyżem Chrystusa
i idą uczestniczyć w chwale.
A zostajemy my – niedojrzałe owoce,

kwaśne jabłka,
i ciągle musimy się rumienić,
Bo nie umiemy sprostać.
– Pokądże Panie?

– Cierpliwości! Wszystko okaże się z czasem...

ABSTRAKT

Pracuję od rana w tej winnicy i nie krzywduję siebie!

Łukasz Kamykowski jest teologiem, pisze prace naukowe i prozę literacką. Powieść *Aga, Mateusz... i mnóstwo pytań o Kościół* z 2005 roku można zaliczyć do obu tych kategorii, ponieważ opowieść o jednym tygodniu życia księdza i wykładowcy posłużyła jako rama do podsumowania jego dokonań w tej dziedzinie eklezjologii naukowej i praktycznej. Opisuując swoje przygody w Krakowie i w drodze pod Tatry, ks. Kamykowski ukazał zmagania zatroskanego kapłana, gorliwego apologety i mistycznego poety. Świadczy o staraniach kapłana o osiągnięcie cnoty cierpliwości niezbędnej w prowadzeniu dialogu. Szczególnie piękne są opisy modlitw kapłańskich, czyli dialogów z Bogiem i tylko z samym sobą. W ostatniej części artykułu umieściłem kilka jego medytacji o Kościele, które okazały się hymnami eklezjologicznymi.

Słowa kluczowe: Kościół, jedność Kościoła, apologia, kapłan, loci theologici, klucze Piotrowe, poezja teologiczna

ABSTRACT

I've been working in this vineyard since morning and I'm not sad!

Professor Kamykowski is a theologian who writes scientific works and literary prose. The novel *Agnes, Mathew... and plenty of questions about Church* from year 2005 can be classified into these both categories because the story about a priest's and lecturer's single week of life was availed as a frame for the summary of his achievements in the field of scientific and practical ecclesiology. Describing his adventures in Cracow and on the way to The Tatra Mountains, Fr. Luke shows the struggle of a concerned priest, an eager apologist and a mystical poet. He bears witness to the priest's efforts in achieving the virtue of patience indispensable in conducting a dialogue. Especially beautiful are the descriptions of priesthood prayers, that is dialogues with God and with oneself alone. In the last part of the article, I put several of his meditations on Church which occurred to be ecclesiological hymns.

Keywords: Church, the unity of Church, apologia, priest, loci theologici, Peters' keys, theological poetry

BIBLIOGRAFIA

Kamykowski Ł., *Aga, Mateusz... i mnóstwo pytań o Kościół*, Wydawnictwo Scriptum, Kraków 2019.

NOTA BIOGRAFICZNA

dr Andrzej Bielat (ur. 1965) – dominikanin. W latach 1992–2009 pracował w Rosji i na Ukrainie jako duszpasterz i wykładowca w szkołach teologicznych w Moskwie, Kijowie, Odessie i Petersburgu. Pod kierunkiem prof. Kamykowskiego w 1999 roku przygotował pracę licencjacką dotyczącą sowieckiego ateizmu naukowego, a w 2011 roku rozprawę doktorską *Na ratunek Europie. Henryk Sienkiewicz jako apologeta chrześcijaństwa i obrońca cywilizacji łacińskiej*. Obecnie mieszka w klasztorze przy sanktuarium w Borku Starym pod Rzeszowem i stale współpracuje z miesięcznikiem religijnym „Różaniec”.